

Teatr to nie wycieraczka!

TEATR. „Dybuk” Wierszalina w Wybrzeżu

Teatr Wybrzeże w swoim „złotym” pięćdziesiątym sezonie zaprasza do siebie najlepsze teatralne ansamble. To właśnie w Gdańsku odbyła się w niedzielę premiera najnowszego spektaklu Towarzystwa Wierszalina z podbiałostockiego Supraśla – „Dybuk” Szymona Anskiego.

Z ciemności wylania się żydowski nagrobek, „święta mogiła”, w której leżą połączeni na wieczność młodzi narzeczeni, co zamordowani przez wroga nie zdążyli na swój ślub. Wykuta w metalu cmentarna brama, brama do Boga, spoczywa na zwałonych pniach. Wokół niej pełno drewnianych pałub, przypominających kształtem macewy. W głębi po lewej stronie szczątki jakiegoś domostwa z wytłamaną balustradą i samotną kolumną.

Do tego zniszczonego przez czas i niepamięć świata, zarnienionego w cmentarz, przybywa samotny wędrowiec Meszulah (Aleksander Skowroński). Wyjmuje z walizki menorę i przygotowuje szabasową wieczerzę, na której gromadzą się cienie zmarłych. Tak zaczynają się te żydowskie „dziady”... Reżyserem przedstawienia jest Amerykanin Michael Griggs. Ale lider Wierszalina Piotr Tomaszuk, figuruje w programie na pierwszym miejscu jako autor pomysłu inscenizacyjnego. Ten zaś budzi niemałe zastrzeżenia.

Zanim wierszaliński „Dybuk” trafił do Gdańska, pojawiły się ulotki informujące o tym, że spektakl opowiada o grupie aktorów, którzy wprowadzają się ze swoim teatrem do zrujnowanego budynku po dawnej synagodze – odnajdywane na każdym kroku ślady przeszłości prowokują ich do odegrania starej chasydzkiej legendy. Pomysł takiej teatralnej ramy, inspirowany nieco prologiem dopisanym sztuce Anskiego przez Ernesta Bryllę, może nie poraża oryginalnością, ale pozwala ocenić wiarygodność sytuacji, w której gojów przychodzi zmierzyć się z jednym z najbardziej zmitologizowanych dzieł kultury żydowskiej.

Żydowskie „Dziady”

Jednak w przedstawieniu pokazanym nam w niedzielę ślady takiego rozwią-

zania są bardzo nikłe. Oto w czas szabasu przybywa do tego opuszczonego miejsca-cmentarza tajemniczy orszak. Kim są jego uczestnicy? Żalobnikami oplakującymi zmarłych dawno krewnych i przyjaciół? A może cieniami stawiającymi się w swych śmiertelnych szatach na wezwanie Meszulah-Guślarza, przywołanymi modlitwą tego „boskiego pośrednika”?

Wydaje się, że Tomaszuk i Griggs chcieli poprowadzić swój spektakl w stronę „Dziadów”. Jawnym tego sygnałem jest choćby zacytowanie sceny egzorcyzmów z inscenizacji Konrada Swinarskiego (tyle że tym razem wygrywają ciemne moce – to Dybuk przetraca do tyłu Azriela w efektownym salcie). Brakuje wszak dramatycznego napięcia czy wręcz grozy, która musi rodzić się ze styku dwóch światów: żywych i umarłych.

Dzieje się tak być może dlatego, że rezygnując z czystej teatralnej sytuacji, inscenizator pozostawił jednocześnie na twarzach aktorów ślady ich komediackiego fachu. Pobielone twarze i czarne kreski niby łyż Pierrotta przywodzą na myśl groteskowe twarze-maski z legendarnego przedstawienia Wachtangowa zrealizowanego z Habimą w 1922 roku. Bo postaci z orszaku rzeczywiście są komediantami – Marek Tyszkiewicz, Adam Wnuczek i Wioletta Szymusiuk, przy pomocy drewnianych klocków, na których widnieją autentyczne, naruszone czasem fotografie przedwojennej żydowskiej społeczności, odgrywają wiele ról, przechodząc błyskawiczną transformację (tyle zostało z pierwotnego pomysłu). Przypominają gromadę dybuków, które w swojej wędrowce jednoczą się z ciałami innych, symbolizowanymi przez „macewy”...

Z żonglerki ról wyłączona jest tylko para protagonistów: Lea – Joanna Kasparek i Chanan – Grzegorz Artman. To ci, którzy zlekceważyli reguły „Judekiej komedii”, odprawianej na co dzień w życiu. Bo przedstawienie Wierszalina – pozbawione monumentalnej formy i wystawności, jaka zwykle towarzyszy inscenizacjom „Dybuka” – według deklaracji samego Tomaszuka skupia się głównie na konflikcie młodości, która walczy o swoją miłość i autentycz-

ność, z chylącym się do upadku, sterylizowanym światem starych, rządowym przez ortodoksyjną religię i pieniądze.

Herezja czy melodramat?

O czym naprawdę jest ten spektakl? Oto widzimy, jak dwaj młodzieńcy rozprawiają o sławnych w okolicy cadykach-cudotwórcach, spekulując, czy istnieją bogomiany (tajemne imiona Boga o sile zaklęcia), przy pomocy których można stworzyć Golema albo wywołać szatana. Tej rozmowie przysłuchuje się Chanan, najlepszy student w jesziwie, który postanowił szukać własnej drogi poznania, poza Świętą Księgą.

Talmud stał się dla niego zbyt chłodny i jałowy – przykuwa go do ziemi, odwracając wzrok od słońca. Tylko Kabała unosi wysoko i otwiera oczy na tajemnicę, daje poczuć smak nieskończoności. Chanan odkrywa, że z grzechem nie należy walczyć, tylko zło w dobro przemienić. „Świętość jest w satanii” – powtarza. Bo przecież to Bóg stworzył zło – Szatan jest jego odwrotną stroną, musi zatem zawierać w sobie jego jasność. Nie przez Boga, który wymyka się rozumowi, wiedzie droga do światła, ale przez grzech. Największym grzechem, którego nie sposób pokonać, jest pożądanie kobiety, może go wszak oczyścić ogień miłości.

Chanan wchodzi w pakt z ciemnymi mocami, by zdobyć dwie beczki dukatów i zaspokoić chciwość ojca Lei – pięknej dziewczyny przeznaczony mu dawnymi ślubami. I cofnąć czas, gdy Sender – mimo zabiegów młodzieńca – zaręczył córkę z Obcym. Chanan dociera do „Przedwiecznego Słowa”, dającego władzę nad światem, i pada martwy na ziemię.

Scena bluźnierstwa i śmierci Chanaana, mimo swojej wagi, zostaje w spektaklu wyciszona do granic nieczytelności. Podobnie, jak wiele innych momentów, wyposażonych przez autora w potężny ładunek dramatyzmu (nie zostaje na przykład wygrany fakt odmowy przyjęcia przez ducha Nysena wyroku Sądu Tory, który ma olbrzymie konsekwencje dla dalszego przebiegu akcji). Realizatorzy nie dbają o całość i wyrazistość fabuły. Dają tylko sygnały, rozpoznawalne dla tych, co znają tekst. Bo przedstawienia Wierszalina – tak, jak dramaty wykletego współtwórcy teatru Tadeusza Słobodziana – funkcjonują na prawach „innej historii”. Opowiada-

ją na nowo to, co zostało już kiedyś opowiedziane, odchodząc jednak od autorskiej propozycji.

Nie da się jednak ukryć, że Tomaszukowa opowieść o dybuku, który wchodzi w ciało ukochanej, by dokończyć swe przerwane życie, jest płytka. Z całej filozoficznej podbudowy dramatu Anskiego, który dociera do źródeł herezji, wadząc się z Bogiem i Szatanem, został wypreparowany głównie wątek miłosny, oprawiony w folklorystyczny kostium, w wielu momentach obnażający swoje szwy. Resztę mają zastąpić szczerze przywoływane znaki sacrum.

Teatralne sacrum

Tomaszuk jest mistrzem w tworzeniu „obrzędowego klimatu”: wie, jak zagęszczać powietrze dźwiękiem i modlitewnym śpiewem, jak grać ciemnością, jak włączyć do akcji „mistyczne” światło, jak celebrować gest, który zyskuje rytualną sankcję. Wszystkie te znaki zostają jednak na powierzchni, nie schodzą w głąb duszy, nie niepokoją ani nawet nie drażnią.

Chyba że ktoś mi wytłumaczy sens – dajmy na to – sceny „rytualnego” obmywania przez Leę duszy Chanaana, wystylizowanego na Chrystusa. W czasie, gdy na pierwszym planie odbywa się „strasliwy” (w rzeczywistości nie bardzo) Sąd Tory, w tle Grzegorz Artman – wzorujący się w swojej aktorskiej ekspresji najwyraźniej na Ryszardzie Cieślaku – zdejmując przy pomocy partnerki czarne sztuczne spodnie, przez chwilę występuje w zgrzebnej przepasce na biodrach, i znów wkłada czarne spodnie, dla odmiany skórzane. Dla mnie ta celebrowana długo ceremonia nie znaczy nic, choć chce pewnie znaczyć wiele.

Teatr to nie wycieraczka! – tymi słowami oburzony Piotr Tomaszuk omijał dwa, bardzo konkretne pytania, postawione mu przeze mnie na konferencji prasowej. Prawda. Dlatego właśnie boli pustka i fałsz, którym nadaje się pozory świętości.

JOANNA CHOJKA

Towarzystwo Wierszalina, „Dybuk” Szymona Anskiego. Inscenizacja: Piotr Tomaszuk, reżyseria: Michael Griggs, scenografia: Miłkołaj Malesza, kostiumy: Mariola Bocianowska, muzyka: Jacek Ostaszewski. Spektakle 2 i 3 lutego w ramach cyklu „Goście teatru Wybrzeże w 1000-lecie Gdańsku”